

## Część pierwsza. Spotkanie

### Rozdział pierwszy

Był to ostatni list na stosiku porannej poczty Irene Redfield. W porównaniu ze zwykłą, czytelnie zaadresowaną resztą korespondencji długa koperta z cienkiego włoskiego papieru opatrzona nabazgrołonym, prawie niemożliwym do odszyfrowania adresem wydawała się dziwna, nie na miejscu. Sprawiała jednak wrażenie, że skrywa pewną tajemnicę. Cienka i zagadkowa, bez adresu zwrotnego, który zdradziłby tożsamość nadawcy. Oczywiście od razu domyśliła się, od kogo był list. Przed dwoma laty otrzymała podobny. Poufny, a zarazem bezpośredni. Zaadresowany fioletowym tuszem. Napisany na zagranicznym papierze o nietypowych wymiarach.

Irene zauważyła, że list został wysłany dzień wcześniej z Nowego Jorku. Delikatnie zmarszczyła brwi, bardziej ze zmieszania niż ze zdenerwowania, chociaż odczuwała i to, i to. Wiedziała, że w treści znajdzie wyraz postawy wobec niebezpieczeństwa, której nie była w stanie zrozumieć; nie uśmiechało jej się otwarcie koperty i przeczytanie listu.

Pomyślała, że po Clare Kendry nie mogła się spodziewać niczego innego. Przecież ona zawsze igrała z niebezpieczeństwem. Zawsze była go świadoma, ale nigdy się przed nim nie cofała ani go nie unikała. A na pewno nie z powodu ostrzeżeń czy oburzenia innych.

Przez moment Irene Redfield widziała przed sobą bladą dziewczynkę na przetartej niebieskiej kanapie, zszywającą kawałki jaskrawoczerwonego materiału, oraz jej pijanego ojca – wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę miotającego się w amoku po obskurnym pokoju. Klął jak szewc i zamachiwał się na nią rękami. Chaotyczne ciosy zwykle jej nie dosięgały, ale wcale nie były przez to mniej przerażające. Czasami bowiem udawało mu się trafić. Kulenie się dziewczynki na najdalszym krańcu kanapy z marną robótką w dłoni było jedynym, co sugerowało, że w jakikolwiek sposób niepokoiło ją to zagrożenie wobec niej i jej rękodzieła.

Clare dostawała dolara tygodniowo za załatwianie sprawunków dla krawcowej mieszkającej na najwyższym piętrze budynku, w którym dozorcą był Bob Kendry, i dobrze wiedziała, jak ryzykowne było zabranie dla siebie części zarobków. Ale nie stanęło jej to na drodze. Chciała wybrać się na piknik organizowany przez szkołkę niedzielną i postanowiła

sobie, że będzie miała na tę okazję nową sukienkę. I dlatego, chociaż mogła narazić się na pewne nieprzyjemności, a może nawet niebezpieczeństwo, zabrała pieniądze, by kupić materiał na ten żalony czerwony fatalaszek.

Nawet wtedy w życiu Clare Kendry nie było miejsca na kompromis – pozostawała wierna wyłącznie swoim pragnieniom. Była samolubna, zimna i szorstka. Potrafiła jednak także w zdumiewający sposób okazywać ciepło i pasję, czasami zakrawając aż o teatralność.

Irene, starsza od Clare ponad rok, pamiętała dzień, w którym Bob Kendry zginął podczas drobnej bójki w barze, a jego zwłoki przywieziono do domu. Mająca wtedy zaledwie piętnaście lat Clare stała jak wryta z zaciśniętymi ustami i chudymi rękami założonymi na piersi. Wpatrywała się w znajomą, bladą twarz ojca, a w jej skośnych czarnych oczach błyszczała pogarda. Stała tak przez dłuższy czas, przyglądając się bez słów. A potem nagle szloch wstrząsnął jej szczupłym ciałem; wyrwała z głowy jasne włosy i tupiała małymi stopami. Napad ustał równie szybko, jak się zaczął. Szybko obrzuciła wzrokiem nędzny pokój, obdarzając wszystkich obecnych, nawet parę policjantów, ostrym, lekceważącym spojrzeniem. A w następnej chwili odwróciła się i zniknęła za drzwiami.

Patrząc na to z perspektywy wielu lat, reakcja Clare wydawała się raczej wyrazem tłumionej wściekłości niż głębokiej żałoby po zmarłym ojcu; chociaż zdaniem Irene jej uczucia wobec niego były jak przywiązanie kota do człowieka.

Clare Kendry miała kocią naturę. To zdecydowanie najlepszy sposób na opisanie jej, jeśli już miałoby się ją do czegoś porównać. Czasami była szorstka i wydawała się mieć serce z kamienia, a innym razem okazywała czułość i była zanadto impulsywna. Kryła też w sobie zaskakującą, cichą złośliwość, która wychodziła na jaw, dopiero gdy ktoś ją sprowokował. Do tego potrafiła drapać; i to dotkliwie. A gdy ogarniała ją złość, walczyła zaciekle i ostro, nie zważając na niebezpieczeństwo, większą krzepę i liczebność przeciwników czy inne niesprzyjające okoliczności. Jakże brutalnie rozprawiła się kiedyś z chłopcami, którzy zaczęli szydzić z jej ojca i podśpiewywać ułożony przez siebie złośliwy wierszyk, w którym wyśmiewali jego chwiejny chód! Jakże dosadnie...

Irene wróciła myślami do teraźniejszości, do listu od Clare Kendry, który nadal trzymała w dłoni. Z lekką obawą powoli rozcięła kopertę, wyjęła z niej zapisane kartki, rozłożyła je i zaczęła czytać.

Od razu odkryła, że treść listu była zgodna z jej przewidywaniami – już ze znaczka wywnioskowała, że Clare jest w okolicy. Tak jak się spodziewała, była to nietypowo sformułowana prośba o ponowne spotkanie. Irene pomyślała, że wcale nie musi i nie zamierza na to przystawać. A tym bardziej nie zamierza pomóc Clare w realizacji lekkomyślnego planu powrotu do życia, które już dawno, i do tego z własnej woli, zostawiła za sobą.

Przebiegła wzrokiem treść listu, z trudem rozczytując pismo Clare i zgadując, co kryło się za gryzmołami.

„...gdyż jestem samotna, tak bardzo samotna... niczego nie pragnę bardziej niż ponownego spotkania z Tobą. A w życiu pragnęłam wielu rzeczy... Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo na tle mojej bladej rzeczywistości jaskrawi się perspektywa tego innego życia, które kiedyś z radością porzuciłam... To jest jak ból, który nigdy nie ustaje...” Clare ciągnęła kartka za kartką. List zwieńczyła słowami: „I to twoja wina, droga Rene. Przynajmniej częściowo. Bo nie czułabym tej okropnej, dzikiej potrzeby, gdybyśmy nie spotkały się wtedy w Chicago”.

Ciepłe oliwkowe policzki Irene Redfield zapłonęły wypiekami. „Wtedy w Chicago” – te słowa wyróżniały się na tle masy akapitów pełnych innych wyrazów i przywodziły na myśl żywe wspomnienie tamtej chwili, która po dwóch latach nadal wywoływała w niej mieszaną upokorzenia, żalu i wściekłości.